



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

KONKURS.

Sądzymy, że najwłaściwszym tematem dla czytelników *Wieczorów* rozmaitego wieku będzie obecnie odpowiedź na zapytanie :

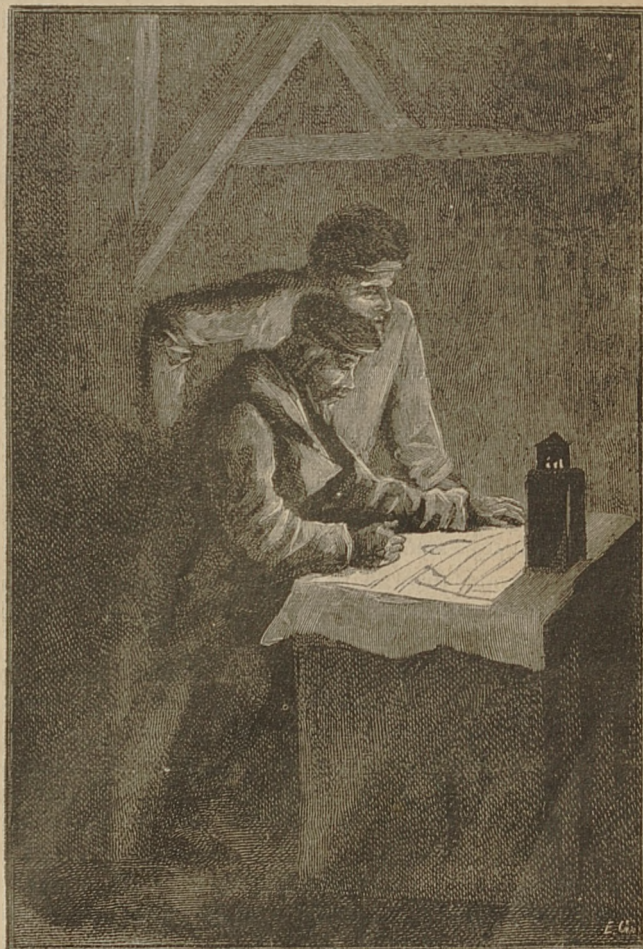
„Co nam zrobiło największą przyjemność w życiu?”

Ponieważ gorąco pragniemy, aby pomiędzy Redakcją a gronem czytelników ustalała się coraz bardziej wzajemna wymiana myśli, dla tego więc stawiamy wam zapytanie, które wywoła odpowiedzi bardzo rozmaite, — bo zależne od usposobień waszych, od przygód doznanych, a prawdziwe — bo będące opisem rzeczywistego w życiu waszym zdarzenia. Z sądów zaś naszych, z uwag nad nadesłanemi odpowiedziami wywiązać się może ożywiona z Redakcją korespondencya, na którą odpowiadać będą: Redakcyja, Gołąbka, Jaskółka i Józio, jednym słowem, wszyscy, którzy do was pisują. Mamy nadzieję, że taka forma znoszenia się z Redakcją, przypadnie do smaku naszym czytelnikom, na których opieszalność w korespondowaniu z nami nie skarżymy się nigdy :

Za najlepsze wypracowania przeznaczamy jak zwykle nagrody z książek. Spodziewamy się, że do konkursu tego zechcą należeć i te z naszych kochanych staruszek, które wyszły już z lat konkursowych, a pragną na konkurs wypracowania pisać.

Termin nadsyłania wypracowań na pierwszy kwietnia. Prosimy przytem jak zwykle o dokładne wymienienie imienia, nazwiska, pseudonimu, lat i adresu na karteczce zamkniętej w kopercie, noszącej to samo godło, którem opatrzone, będzie wypracowanie.

Redakcyja.



Właśnie kapitan wszczął z Gromskim ożywioną geograficzną sprzeczkę.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Gromski zamyślił się.

— Więc pan wierzysz w istnienie Południowego Kontynentu? — zagadnął po chwili milczenia.

— Ależ ma się rozumieć; dokoła bieguna południowego leży wielki kontynent.

— Być może — odparł Gromski, wzruszając ramionami; — zresztą zobaczymy.

— A jeżeli jest tylko pięć części świata? — wtrącił James, spoglądając badawczo w oczy inżynierowi.

Gromski nie odpowiedział, widocznie jednak pytanie sternika zaniepokoiło go trochę.

Po powrocie na okręt, Ford, po krótkiej naradzie z towarzyszymi, rozkazał załozce, ażeby zaraz nazajutrz przystąpiła do budowania w dolince szopy, przeznaczonej do pomieszczenia aerostatu i łódki. Marynarze, zachęceni obietnicą nagrody, zabrali się żwawo do pracy.

Czasu pozostawało nie wiele; budowa szopy zabrała 4 dni; siódmego przystąpiono do wyładowania balonu i łódki. Inżynier sam kierował przewiezieniem na ląd swego powietrznego statku.

Na szczęście, wszystko znajdowało się w jak najlepszym stanie; w dwa dni potem aerostat złożono w szopie i zaczęto ustawiać aparat do wydobycia wodoru. Była to najzwyklejsza część przygotowań. Wszystkie zabrane beczki połączone rurami z płuczkarnią do oczyszczania gazu, który stamtąd dopiero, przez gumową rurę, miał wchodzić do balonu.

Przez środę i czwartek, dnia 13 i 14 transportowano na wyspę balony z kwasem siarczanym i stare żelastwo.

Inżynier zamierzał wyruszyć przy końcu grudnia, lub w pierwszych dniach stycznia, który to miesiąc odpowiada lipcowi na półkuli północnej.

Ford znał doskonale klimat polarnych okolic; wiadomo mu było, że lato w rzeczywistości trwa tam zaledwie przez parę tygodni, najcieplejsza pora przypada zwykle na koniec stycznia, a na północnej półkuli w lipcu. Należało zatem korzystać z tych kilkunastu dni, podczas których termometr Celsiusza wskazuje średnio 11° ponad zero. Inżynier obliczył, iż na przebiecie 34 stopni geograficznych, dzielących południowy skraj Ameryki od bieguna, trzeba mu było, przy okolicznościach przyjaznych, około tygodnia czasu; powrót, w każdym razie, musiał nastąpić przed upływem dwudziestu pięciu dni od chwili wzniesienia się, gdyż aerostat nie utrzymywał dłużej gazu.

Inżynier sam prowadził roboty, wtrącając się do najdrobniejszych szczegółów od których, jak wiedział z doświadczenia, zależało bardzo wiele.

W wigilię Bożego Narodzenia ukończono ustawianie w dolinie aparatu do otrzymania wodoru i słupów przeznaczonych do podtrzymywania napełnionego balastu.

Podczas świąt, uroczyste obchodzonych przez marynarzy, Gromski i Ford ostatecznie obmyśliли niektóre szczegóły podróży, i przygotowali się na wszelkie zajść mogące okoliczności.

Inżynier prócz tego kilka razy dziennie obserwował kierunek, w jakim płynęły w górnych warstwach atmosfery drobne chmurki: rezultaty tych spostrzeżeń wypadały mu dość pomyślnie.

— Więc pan liczysz ciągle na górny prąd? — zagadnął go raz Ford.

— Od jego istnienia zależy powodzenie wyprawy, kapitanie. Niestety, nie znamy wcale prawie prądów olbrzymie-

go oceanu powietrznego; biorąc jednak pod uwagę pewne prawa fizyczne, mogę postawić hipotezę bardzo prawdopodobną.

Otóż podług mnie, ruch w atmosferze musi odbywać się podobnie, jak w łonie oceanu. Znasz pan prądy morskie. Wpatrzywszy się w mapy, dostrzegamy prądy zimne, biegnące od bieguna ku równikowi, i ciepłe, posiadające kierunek przeciwny; prócz tego, jak panu wiadomo, najczęściej prądy zimne płyną pod ciepłymi. Jestem pewny, że podobnie rzecz się ma w naszej atmosferze z tą różnicą, że prądy w niej są stosunkowo potężniejsze od morskich i nie tak lokalne, jak te ostatnie, gdyż powietrze, otaczające ziemię, tworzy jeden ocean gazowy, nie rozgraniczony lądami. Za przykład niech posłużą passaty. Przypuszczam i wierzę, że istnieje północno-zachodni ciepły prąd, niosący z pod równika ku biegunom ogromne powietrzne masy. Jeżeli się myślę...

— To będziemy musieli czekać na przyjazne wiatry w niskich warstwach atmosfery? Czy tak, inżynierze? Przecież mamy kotwicę, która jak pan mówiłeś pozwoli nam zatrzymać się wpośród oceanu.

Gromski zrobił gest powątpiewania.

— Zrobimy to w ostateczności — rzekł; — w okolicach bieguna panuje wiatr południowo-wschodni. Wszystko więc zależy od ciepłego prądu.

— Hm, ryzykujemy zatem? — mruknął Ford uśmiechając się.

— Tak, kapitanie, należy jednak robić, co tylko jest w naszej mocy. Otóż postanowiłem wypuścić trzy próbne baloniki, celem zbadania tej, tak ważnej dla nas, kwestyi; dadzą nam one dość pewne wskazówki co do kierunku wiatru, panującego w najwyższych warstwach atmosfery.

Doświadczenie powyższe inżynier wykonał w samo południe, dnia 26-go grudnia.

Niewielki balon, objętości około 15-tu metrów kubicznych, wzniosłszy się szybko, płynął czas jakiś w kierunku północno-zachodnim, poczem, dosięgnąwszy wysokości około 2,000 metrów, począł wracać; po upływie ośmiunastu minut znalazł się znów ponad wysepką i niebawem zniknął pomiędzy małemi chmurkami w południowej stronie nieba.

Rezultat tego nadzwyczaj ważnego doświadczenia wlań świeżą nadzieję w piersi naszych żeglarzy; mając taki namacalny dowód istnienia prądu w górnych warstwach atmosfery, mogli śmiało puszczać się w drogę.

Gromski postanowił nie zwlekać dłużej.

Dnia 27 zabrano się do napełnienia balonu. Rano, równocześnie ze wschodem słońca, inżynier znajdował się, z wraz z towarzyszami na wysepce, aby kierować trudną operacją.

Była szosta, kiedy marynarze, wśród głośnych okrzyków, wynieśli z szopy skulony, bezwładny aerostat i złożyli go na wielkiem płótnie, rozłożanem na ziemi wpośród dolinki.

Podczas gdy pompowano kwas do beczek, inżynier, przy pomocy Jamesa, połączył skurczoną powłokę balonu z długą rurą gumową, wychodzącą z głównego zbiornika. Była to tętnica, przez którą, niby krew do organizmu, miał napływać wodór do aerostatu. Otworzono kurek i rozpoczęło się napełnianie. Teraz balon podobny był do skóry z jakiegoś olbrzymiego potwora morskiego; on, przeznaczony do tego, aby lekko, jak pyłek, bujać po obłokach, wysoko ponad ziemią, leżał na niej nieruchomy, bezkształtny, jak stos szmat jednego koloru. Powoli jednak, pochłaniając gaz powracał do życia; na jego pomiętem, nieforemnie ciele wyrastały garby, które, zlewając się, utworzyły najprzód głowę bez szyi, potem boki i objętość ogromną, rosłą w oczach. O dwunastej w południe, aerostat przypominał już wieloryba; po jego lśniącej skórze przebiegały lekkie dreszcze — zwiastuny budzącego się życia; potwór powietrzny oddychał głęboko i wstrząsał się pod wpływem wiatru, wdzierającego się pomiędzy fałdy jedwabiu, podobne do długich zmarszczek. Te ostatnie nikły jednak stopniowo, wygładzały się. Olbrzym powietrzny rósł w oczach, napełniając swem pulchnem, delikatnem ciałem siatkę; sadowił się w niej, jak ostryga w skorupie.

Niedawno jeszcze uległy, teraz rzucal się niespokojnie i szarpał podtrzymujące go powrozy.

James był zachwycony, patrząc na te narodziny; gaskał ręką powłokę, pieścił balon, niby żywą istotę jaką.

— Ot, to mi statek! — mówił z zapałem do majtka. — Drwi sobie z bałwanów, skał i mielizu! Niech się przed nim schowają wszystkie parowce, fregaty, korwety, brygi, slupy, barki i inne cudactwa, unoszące się po wodzie. Szesnaście węzłów! hi hi hi, toż to meduza tyle przepływa na godzinę!

Trzeba wiedzieć, iż James ogromnie z góry począł traktować żeglugę morską od czasu, kiedy zapoznał się z balonem Gromskiego. Na byłych swych kolegów, marynarzy, patrzył z pewnem lekceważeniem i wytykał przy każdej sposobności wady statków zwyczajnych, wynosząc pod niebiosa przymioty aerostatu.

O 3-ciej popołudniu balon był już napelnionym i drzał niecierpliwie, jakby pragnął co rychlej zwolnić się z pomiędzy przytrzymujących go sznurów.

Inżynier spiesznie przyprowadził do porządku urządzenie łódki, pragnął bowiem wyruszyć nazajutrz jak najwcześniej.

Machine, generator i inne większe części motoru umontowano już oddawna: należało jednak ustawić barometry, termometry i specjalne przyrządy, oraz przenieść z magazynu żywność.

Na parę godzin przed północą wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Była to przed podróżą ostatnia noc, jaką nasi podróżni przepędzili na lądzie.

Pomimo zmęczenia wszakże, żaden z nich nie myślał o śnie.

O godzinie 10-tej inżynier obejrzał drobiazgowo przy świetle latarni wszystkie szczegóły maszyneryi, pragnąc upewnić się, czy czego nie brakuje, poczem zasiadł w szopie nad mapą Oceanu Południowego, i wraz z kapitanem począł wykreślać na niej przypuszczalną drogę aerostatu.

Dżems, w towarzystwie marynarzy, natchnionych przezeń uwielbieniem dla żeglugi powietrznej, czuwał nad bezpieczeństwem aerostatu; z wieczora bowiem powstał silny wiatr, który, przedzierając się pomiędzy wzgórzami, otaczającymi dolinę, wpadał od czasu do czasu na balon zwierzchu i wstrząsał nim mocno.

Właśnie kapitan wszczął z Gromskim ożywioną geograficzną sprzeczkę co do hypotetycznego lądu Południowego, kiedy od strony aerostatu doleciał go piorunujący głos Dżemsa, wołający o pomoc.

Nagle to wezwanie, stłumionym, jakby dławionym głosem, zdziwiło a zarazem przeraziło inżyniera. Nie pojmował on, co mogło zmusić sternika do alarmowania całego otoczenia o tak późnej godzinie; przypuszczając jednak, iż wiatr lub inne jakie niebezpieczeństwo zagraża balonowi, pobiegł co tchu do drzwi, ciągnąc za sobą kapitana. Otworzywszy je, znalazł się tuż naprzeciwko jakiegoś wpólnagiego człowieka, który, nie wahając się, wymierzył mu toporkiem potężny cios w głowę.

(d. c. n.)

MŁODY WŁADZCA EGIPITU.

Nad krajem, kędy lotus zakwita, a Nil toczy swe zielonawo-błękitne wody, kędy kamienne sfinksy strzegą bram świątyni, a piramidy czterdzieści wieków przetrwały nietknięte w swoim ogromie—nad tym krajem obejmuje rządy młodzienaszek siedmnastoletni: Abbas basza, który z Wiednia, gdzie pobierał nauki w szkole zwanej *Theresianum* obecnie podążył do Afryki, do Egiptu.

Egipt graniczący na północ z morzem Śródziemnem, na południe z Nubią, na zachód z wielką pustynią Libijską, na wschód z morzem Czerwonym i Arabią stanowi lenną prowincję państwa Otomańskiego. Tylko część Egiptu w dolinie Nilu, jest urodzajną, wielką przestrzeń poza górami Libijskimi, jest piaszczystą, bezludną pustynią.

Wiarogodna, prawdziwa historia Egiptu zaczyna się na 3892 lat, przed narodzeniem Chrystusa, od Faraona czyli króla Menesa, który miasto Memfis obrał za stolicę. Faraonowie czwartej dynastyi, a mianowicie: Chorps, Chefrem i Mencherin, wzniesli piramidy, owe olbrzymie pomniki, niekiedy używane jako śpiachlerze, a po części służące za grobowce królów, lub zwierząt którym oddawano cześć boską. Za Faraonów czwartej dynastyi, staro-egipska cywilizacya i sztuka, jak najwspanialej rozwinęły się we wszystkich kierunkach. Pod berłem królów dwunastej dynastyi t. j. około r. 2380 Egipt doszedł do szczytu bogactw i potęgi. Następnie różne przechodził koleje: w r. 332 zdobyty przez Aleksandra Wielkiego stał się prowincją macedońską; za królowej Kleopatry po bitwie pod Akcyum (w r. 30 po narodzeniu Chrystusa) Egipt utracił swą niepodległość i przeszedł pod panowanie potężnej Romy. Przy podziale olbrzymiego państwa rzymskiego na wschodnie i zachodnie w r. 395, Egipt dostał się cesarzom wschodnim; później kalifowie arabscy, następnie Turcy nim zawładnęli, a za ich rządów potężny niegdys i bogaty kraj, utracił resztę swej dawnej świetności i bogactw. Dopiero w bieżącym stuleciu w r. 1806 nowa, pomyślniejsza dla Egiptu zaświtała era. Mianowany przez Turcyę namiestnikiem Mehemed Ali zaczął rządzić kraj na sposób europejski: zorganizował wojsko, flotę, usiłował dźwignąć dobrobyt w kraju, a syn Mehemeda, Ibrahim basza podbił Nubię, Sennaar i Kordofan.

Ismael basza, syn Ibrahima otrzymał od Wysokiej Porty tytuł *Khedive*, czyli wice króla. Za rządów Izmaila, francuski inżynier Lesseps powziął genialny pomysł przekopania międzymorza Suez i pomysłu tego dokonał, a otwarcie dla okrętów nowej krótszej drogi morskiej, pomyślnie wpłynęło na ożywienie stosunków handlowych nie tylko Egiptu, lecz całej Europy z innymi częściami świata.

Zwolennik cywilizacyi zachodniej, kedyw Ismail wprowadził na swój dwór zwyczaje europejskie: dozwolił kobietom brać udział w balach i zabawach, oraz ukazywać się w mieście bez zasłon na twarzach, co mużmankom surowo było wzbronione. Wszelako rozrzutny i lekkomyślny, niepomniernie chciwy i niepohamowanie ambitny, często, nieuległy rozkazom Wysokiej Porty, Ismael basza wielokrotnie narażał się sułtanowi, który wreszcie odebrał władzę nieuległemu wasalowi, i osadził go w jednym ze swych pałaców w Konstantynopolu, gdzie dotąd strzeżony przez straż padyszacha, żyje osamotniony, pozostawiwszy po sobie w Egipcie jak najgorsze wspomnienie, gdyż poddanych a zwłaszcza ludność zajmującą się rolnictwem, czyli tak zwanych *felluhów* ogromnie uciskał podatkami. Syn i następca Izmaila, Mehemed Tewfik basza, był to monarcha inteligentny i wykształcony. W młodzieńczych swych latach z zamiłowaniem oddawał się naukowym studjom; zajmował się rolnictwem, usiłował rozwijać różne gałęzie przemysłu. On pierwszy na ziemi egipskiej założył hodowlę strusiów, których pióra są cennym i poszukiwanym przedmiotem handlu. Oddany pracy Tewfik basza, jako następca tronu, zdała od stolicy państwa, zdała od Kairu i świetnego dworu ojca przebywał, skromne i ciche wiodąc życie na ustronnym zamku Kubbeh, w pobliżu starożytnego „grodu słońca” Heliopolisu. Ilekroć który z przyjaciół namawiał go na jakiś zbytkowny wydatek, albo rozrywkę kosztowną, Tewfik basza na propozycję odpowiadał zapytaniem: „czyliż nie wiesz o strasznej nędzy panującej w górnym Egipcie?” chcąc tym sposobem dać poznać, że nie godzi się luznych i zbytecznych zabaw wyprawiać wówczas, kiedy wielu głodnych do nakarmienia, a wiele łez jest do otarcia. I później zostawszy wice-królem Tewfik basza niewiele zmienił tryb życia: utrzymywał dwór bez przepychu, bardzo skromnie, zaoszczędzone summy przeznaczając na szkoły i rozmaite instytucje religijne i dobroczynne. Pobożny, prawowierny mużmankin, Tewfik basza, wiernie spełniał religijne obowiązki nakazane przez Koran. Kochająca i dobra, łagodna, rozumna i na sposób europejski wykształcona małżonka Tewfika, księżniczka Emineh, w zupełności podzielała uczucia i upodobania swego męża.

I oto teraz śmierć przecięła pasmo użytecznych dni

Tewfika baszy; grasująca zabójcza choroba, wydarła go rodzinie i poddanym, nad którymi prawdziwie po ojcowsku panował.

Starszy syn zmarłego kedywa, Abbas basza, według praw egipskich pełnoletni, prosto z ławy szkolnej zasiędnie na prastarym tronie Faraonów.



Mehmed Tewfik basza.

Siedmastoletni uczeń, który w Theresianum, do regulaminu szkolnego stosować się i karności szkolnej ulegać musiał — dziś odbiera hołdy należne monarsze i niebawem kilku milionami ludzi rządzić będzie!... Czy równie dobrze jak ojciec? niewątpliwie egipcyanie pytają z niepokojem, bo



Abbas młody kedyw Egiptu.

zmarły bowiem Mehmed Tewfik był uprzejmy, wesoły, dobroduszny, przystępny. Wszelako należy się spodziewać że Abbas basza zapragnie pójść śladem swego ojca i zechce w słonecznej swojej ojczyźnie w dalszym ciągu krzewić ład, porządek, zamilowanie pracy i nowożytną oświatę.

Jeden ze współuczniów młodego Kedywa w kolegium pisze o nim obecnie co następuje: „Przez długie cztery lata wspólnego pobytu w Theresianum był dla kolegów serdeczny i uczynny, dzieląc się z nimi wszystkim po bratersku. Wiadomość o wstąpieniu swoim na tron przyjął bez wzruszenia i obojętnie odbierał powinszowania dworu austriackiego i arcyksiążąt, jako hołd, należący mu się prawnie. Mimo, iż mało zapoznany ze stosunkami Egiptu, większą część bowiem młodości spędził za granicą, posiada wszakże dość inteligencji i rozsądku do kierowania zawikłanymi sprawami państwa swego. Lingwistą jest nadzwyczajnym, oprócz tureckiego bowiem, posiada biegle języki: perski, arabski, niemiecki, francuski, angielski, włoski i hiszpański. Wyraz twarzy ma spokojny, myślący; z natury jest dosyć otyłym. Mało jada, szczególnie cukrów znosić nie może, za to niezmiernie lubi pomarańcze i daktyle.

NA WYSPIE MOLOKAI.

W końcu zaprzeszłego roku, z powodu śmierci na wyspie Molokai, O. Damiana de Vester, pobożnego belgijskiego kapłana, którego imię cały świat chrześcijański ze czcią wspomina, jako apostoła trędowatych, podawaliśmy wraz z życiorysem zmarłego, wzmiankę o tej miejscowości, gdzie rozpoczęte przez niego dzieło miłosierdzia znalazło naśladowców. Pielęgnują oni nieszczęśliwych trędowatych, przez rząd wysp Hawajskich wywiezionych na wyspę Molokai wyłącznie dla nich przeznaczoną, w celu zapobieżenia szerzeniu się zarazy i nieraz podlegają również tej strasznej chorobie. Panująca obecnie na archipelagu Hawajskim królowa Liliuokalani, która w Anglii europejskie odebrała wychowanie, wstąpiwszy niedawno na tron przodków, podróż po państwie swem rozpoczęła od schronienia trędowatych. Podróż tę odbyła w kwietniu roku zeszłego, tak opisuje jeden z jej uczestników:

Dnia 20 kwietnia, o godzinie 10-tej wieczorem, wypływamy z Honolulu na małym parowcu Likiliki. Królowa, orszak jej i kilka osób zaproszonych zajmują miejsce na pokładzie, na którym rzucone materace i maty służyć mają za siedzenie; zresztą statek cały zapelniają krajowcy, którzy w liczbie 200 udają się w odwiedzinę do trędowatych krewnych swoich. Na wybrzeżu ciśnie się tłum niezliczony, pozostający wydają okrzyki na cześć królowej, podróżni z wieńcami kwiatów na szyi, z gitarą przy boku, chórem pieśń jakąś zawodzą. Biesiada, taniec, wycieczka na drugą wyspę, pogrzeb nawet, nic się tu nie obejdzie bez muzyki i bez kwiatów, dwóch niezbędnych warunków życia dla Kanaka.

W miarę jak się od portu oddalamy, hałas cichnie. Królowa odziana w strój narodowy, to jest długa, czarna koszulę, spoczywa leżąc na macie; nad głową jej, wedle miejscowego obyczaju, dziecko krwi szlachetnej powiewa długim pióropuszem stanowiącym godło królewskiej władzy; tuż obok królowej pierwszy minister, damy honorowe i kilku oficerów z jej orszaku. Niema żadnej przegrody dzielącej królowę od podwładnych, którzy wszakże przez uszanowanie nie zbliżają się do niej zbyt blisko; czasami gdy ruchem ręki przywoła którego, przystępuje do niej czołgając się na kolanach. Pomimo tego pozoru służalczości, uświęconego odwiecznym zwyczajem narodowym, widać, że istnieje pomiędzy królową a jej poddanymi



WZAJEMNA OPINIA.

— Jakie śmieszne te istotki! —
Azorek rzecze do Lotki:
— Okrągłutkie niby puszki,
Tylko sterczą na łbie uszki,
Tylko im się oczki świecą,
A w nich złośliwości nieco
Chociaż wzroczek niby słodki.
Mama mówi że to kotki.

— Patrzcie — rzecze panna Mizia
Do braciszków Burka, Kizia —
— Patrzcie, jakie śmieszne bryły.
Żeby chociaż dobre były!
Słowo mamy to rzecz święta...
Mama mówi że zwierzęta,
'To szkaradne!... Pies nie drapie
Lecz zadusi, niech-no złapie!

węzeł wzajemnej sympatii: zna ich ona wszystkich po imieniu, z serdeczną poufalością do nich przemawia, o ich zdrowie i zdrowie dzieci pytając. Odpowiadają jej z prostotą, bez nieśmiałości żadnej, śpiewnie przeciągającym głosem.

Stary jakiś Kanak podniósłszy się z pokładu, mówić zaczyna: wymowę ma płynną, głos dźwięczny, intonację właściwą, ruchy szlachetne i wyraziste, a na pociemniałych od słońca twarzach słuchaczy, w ich dużych, czarnych, łagodnie

patrzących oczach, maluje się żywe zajęcie i uwaga. Jeden z moich sąsiadów poprawną bardzo angielszczyzną tłumaczy mi treść mowy: jest to rodzaj panegiryczn na cześć dawnych królów i znamienitych wodzów z rodu wielkiego Kamehameha. Po nim zabiera głos inny: ten znowu roztropne daje rady i naucza czego się wystrzegać należy. Powoli cisza pokład zalega: każdy się do snu układa.

Wyrzekam się snu, łóżka bowiem kanackie wcale nie

odznaczają się wygodą i siadam na ławeczce obok przełożonego misji francuskiej w Honolulu, starego księdza, który już od lat czterdziestu mieszka w Hawaj. Opowiada mi jak się tu wszystko zmieniło od czasu jego przybycia, i niewielkiem przejęty jest uwielbieniem dla szybkości, z jaką wyspiarze hawajscy przyjęli oświatę, ogładę i dobrobyt europejski.

Powoli naprowadzam rozmowę na grasującą tu plagę trądu i dowiaduję się następujących szczegółów.

Chorobę wnieśli, jak się zdaje, około roku 1850 Chińczycy; od tej pory rozwija się ona nieustannie i mało znaleźć można rodzin nie dotkniętych tą plagą. Przez długi czas nikt nie myślał o zapobieganiu jej: Kanak bowiem, z natury nieopatrzny, skarżył się na ból jedynie, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo; dopiero w r. 1865 postanowiono, że trędowatych z całego państwa wywieść trzeba na północny brzeg wyspy Molokai. Wykonanie tej uchwały nie łatwo przyszło: skazani na wywiezienie stawili opór i uciekali w góry, do czego dopomagał im ogół ludności. Zorganizowano więc prawdziwe łowy na chorych i trzeba było władzom kilku lat czasu na ujęcie ośmiuset trędowatych.

Wówczas to właśnie O. Damiana, członka zgromadzenia w Picpus, wysłano do misji francuskiej w Hawaj, gdzie przepędził lat kilka ucząc się języka krajowców i przyswajając sobie ich zwyczaje. W r. 1873 oświadczył się z gotowością pełnienia służby kapłańskiej na wyspie trędowatym oddanej, i młody jeszcze, bo zaledwie trzydziści trzy lata liczący, silny, wesóły i towarzyski, skazał się dobrowolnie na życie poświęcenia i trudu, na samotność wśród chorych, innego niż on pochodzenia.

Przybywszy na Molokai, O. Damian zastał tam bardzo smutne położenie: rząd nadsyłał zapasy żywności jedynie dla najcięższej chorych: zdrowsi uprawiać musieli rolę, by żywić się jej płodami, żywili się nędznie i w nędzy żyli. Pobożny misjonarz wziął się dzieła i pośrednikiem się stawszy pomiędzy trędowatymi a władzami hawajskimi, starał się wzbudzić współczucie dla nieszczęśliwych, nietylko wśród ich rodaków, ale i w innych krajach. Ład zaprowadził wśród chorych, przycarnał sieroty, odwagi dodał zgnębionym, pielęgnował obłożnie chorych, wszystkich przytem ucząc jak sobie budować mają chaty, jak się czemś zająć pożytecznie. Wnet bojnie nadpływać zaczęły zasilki. Rząd hawajski zatwierdził znaczną stałą opłatę, znaleziono lekarza, który zgodził się osiąść w Molokai, sprowadzono zakonnice Franciszkanki do pielęgnowania dzieci. Po jedenastu latach pobytu na wyspie, dostał trądu O. Damian, nie przestając pomimo to zajmować się dziełem swoim, z którego słusnie mógł być dumnym. W marcu 1889 roku zakończył wreszcie pełen zasług żywot, a zamykając oczy miał prawo powiedzieć sobie, że zrobił dla bliźnich wszystko, co uczynić dla nich człowiek może.

I gdy opowiadał mi sędziwy kapłan o tym swoim bracie zakonnym, który śmierć poniósł męczeńską, łzy mu z oczu płynęły.

— Niestety! — rzekł mi kończąc rozmowę — nie pierwszy to nasz misjonarz umiera z trądu... i nie ostatni jeszcze! A potem do zwykłego usposobienia wracając, z podziwienia godną prostotą, wesóło prawie zakończył.

— No, niema znowu czego ich żałować: prędzej od nas do nieba się dostaną.

Rozmowa upadać zaczyna; mamy jeszcze przed sobą kilka godzin nocy i ruchem okrętu kołysany, usypia mój towarzysz.

Piątej jeszcze niema, gdy pierwszy brzask dnia oświeca ziemię, do której zmierzamy i ukazuje nam się Molokai ze swoich gór spiętrzeniem, ze stromym, prostopadle nad wodą sterczącym brzegiem skalistym. Wstrząśnienia wulkaniczne, którym archipelag hawajski zawdzięcza swoje powstanie, gwałtowniejszemi i bardziej nierównemi być tu musiały. Doliny są głębsze, iglicowe szczyty liczniejsze a cała wyspa godną swego nazwiska, które w języku krajowców znaczy „kraj przepaści.”

Likiliki opływa skalistą ścianę: znajdujemy się naprzeciwko osady trędowatych.

Równina to gdzieś lekko wzgórzami się podnosząca, z trzech stron morzem otoczona, od reszty zaś wyspy oddzielona ścianą niedostępnych skał na 800 metrów wysokich. Ta część wyspy zdaje się być czemś do boków Molokai przyrosłem po to, by od reszty ludzkości odosobnić niebezpieczne dla niej jednostki. Panorama roztaczająca się przed nami smutne czyni wrażenie: okolica dzika, krajobraz górami ograniczony, uprawy ani śladu, drzew mało, wszędzie zato pełno ogromnych głazów, w których szczelinach rośnie ziele jakieś o grubym mięsistym liściu, a nad tem wszystkim wieje nieustannie od północy wiatr gwałtowny. Na tej równinie, tuż nad morzem, u stóp olbrzymiej gór ściany tulą się spore osady złożone z małych, odosobnionych domków. Z odległości w jakiej się znajduję, wydaje mi się, że ktoś wyrzucił na stół zawartość z kilku pudełek zabawek dziecinnych. Potem uwydatnić się zaczynają szczegóły: rozróżniamy dzwonnice kościołów, obszerny, palisadą otoczony szpital, kilka wytworniej zbudowanych, jasnych i schludnych domków, nad samym już brzegiem ogromne szopy i magazyny rządowe, tuż obok niewielka, wieńcami przystrojona przystań, na której tłumy się roją, dalej trochę mnóstwo siedzących na koniach tak mężczyzn jak i kobiet, z których pierwsi ubrani po europejsku, drugie odziane narodowym strojem z bawełny, o barwach jaskrawych. Likiliki zarzuca kotwicę na prost wioski Kalavao. Płynę na łód pierwszem czółnem, które się nawija; przyjmują mię na brzegu dwaj księża katolicycy na wyspie przebywający, oraz agent rządowy; zamieniamy serdeczny uścisk dłoni, poczem dążymy do plebanii przeciskając się przez tłum trędowatych, zgromadzonych dla uczczenia młodej monarchini, oraz powitania krewnych i przyjaciół,

Nigdy dotąd nie widziałem trędowatego i wytworzyłem sobie był pojęcie, że czytane przezemnie opisy tej choroby są przesadzonemi, że autorowie chcą obraz wyraźniejszym uczynić, naumyślnie za czarno go malują. Płynąłem więc na Molokai z postanowieniem, że na nic patrzeć nie będę przez przyzmat uczucia, lecz pomimo to, przyznając, widok jaki miałem przed oczyma wydał mi się stokroć przykrzejszym i smutniejszym od wszystkiego, co wyobraźnia przedstawićby mogła, a wrażenie jakie zeń odniosłem, było najsilniejszym i razem najboleńszem wrażeniem mego życia.

Chory którego na łóżu szpitalnem widzimy, choćby nawet ranami i wrzodami był okryty, w odpowiedniem znajduje się otoczeniu; jako członek społeczeństwa cierpieniem dotknięty, otoczony jest staraniem i wszystkim, co mu zdrowie przywrócić może; współczucie tylko budzi i litość. Ale gdy na wyspie od świata odciętej, pod jasnym niebem, na świeżem, czystem powietrzu, widzimy dzieci, kobiety, starców, młodzież — pracą domową zajętych, lub beczynnie siedzących na progu domu — pieszych, jeźdźców — wszystkich jednym słowem, nawiedzonych straszliwą tą chorobą to zupełnie co innego.

Choroba rzuca się przeważnie na twarz ręce i nogi, które zamieniają się w jedną ropiącą ranę. Niektórzy wstydzili się ran zdają, płótnem owijają zaatakowane miejsca; ale większa część nieszczęśliwych nie oglądając się już na nic, wystawia na widok owrzodzenia i rany, do których przyzwyczajonymi być się zdają. Widok to niezapomniany, bo nader bolesny.

(d. c. n.)

WŁASNYCH SIŁACH.

POWIĘŚĆ

p. Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

— Może być — bąknął Witold.

— Moje dziecko — rzekła p. Szarocka łagodnie po odjeździe gościa — jestem pewną że to ty stronisz od tego młodego chłopca, który mi się bardzo podobał.

— Nie lubię go — odpowiedział krótko.

— To mię bardzo dziwi, a nie mógłbyś mi powiedzieć przyczyny? — badała dalej.

— Ależ mam, niepodobna przecież abym żył ze wszystkimi, zresztą on nie z naszej sfery.

— Co to ma znaczyć Witoldzie? O jakiej to sferze mówisz? — rzekła p. Szarocka nieco surowo, spostrzegając, że to co brała dawniej za kaprys dziecinny, dziś przemienia się w jakieś przekonania, których bynajmniej nie chciała wszczepić w serce dziecka.

— Mówię mamie że to jest biedak, który nietylko że w wytartym i ciasnym chodzi mundurze, ale nosi wodę, i zamiata pokój, jak mi mówił Feliks, który to na własne widział oczy, chodzi sam po kawałek mięsa do jatki i po bocheneczek chleba do piekarza — wypowiedział Witold prędko, z pogardliwym wzniesieniem głowy.

Stefan milczał, chcąc aby słowa matki wyraźniej odbiły się w umyśle chłopca, spostrzegł bowiem, że matka pierwszy raz może sądzi syna sprawiedliwie, nie zaślepiona miłością i pobożaniem.

P. Szarocka w pierwszej chwili, z bolesnym wyrzutem zacięła usta, i z pod zmarszczonych nieco brwi spojrziała na Witolda, jakby wyczekiwaniu że usłyszy coś jeszcze.

Ale chłopiec zamilkł, pod wzrokiem matki uczuł się zmieszany trochę, tembardziej że Stefan był świadkiem tej memiłej rozmowy.

Milczenie panowało chwilę, pani Szarocka rozumiała, że do niej należało odpowiedzieć synowi, i nie ociągała się z tem długo.

— Pierwszy raz słyse mówiącego cię w ten sposób Witoldzie — rzekła z powagą — Więc dla tego stronisz od kolegi, że on uboższy od ciebie, a raczej nie od ciebie, bo ty nie masz dziś nic coby było twoją własnością. Nazywasz go biedakiem, który chodzi w wytartym i ciasnym mundurze; ależ Witoldzie, on stokroć bogatszy od ciebie, bo ma rozum i serce, czego u ciebie niestety, spostrzegam brak wielki.

Witold słuchał słów tych z największem zdumieniem: tak surowo mówiącej matki nie słyisał jeszcze nigdy, i to jeszcze w obec Stefana, który z pewnością śmieje się z niego w duszy i rad z zawstydenia jakie go spotkało. I poraz drugi zapanowało milczenie, przykre bardzo dla wszystkich.

Stefan wyjrzał oknem, i jakby wezwany przez kogoś, wyszedł z pokoju, na co zdawało się że Witold wyczekiwał, bo odezwał się cały wzburzony.

— Mam, czy dlatego powiedziałaś że nie mam rozumu i serca, aby p. Stefan szczydził ze mnie?

— Czy sądzisz że p. Stefan nie tak samo myśli o tobie, gdy wygłaszasz podobne zdania? — zapytała p. Szarocka — czy ty tego nie rozumiesz że i on również jak Jerzy od lat wielu pracuje na siebie, że i on może nieraz w wytartym chodził mundurze, gdy nie miał za co sprawić nowego?

— Więc mama mi nie broni z pierwszym lepszym wchodzić w stosunki przyjaźni? — zapytał.

— Jeżeli ten pierwszy lepszy jest takim jak Jerzy, pragnęłabym aby ci był przyjacielem — odpowiedziała p. Szarocka spokojnie.

— Oczarował mamę — mruknął Witold przez zęby, gdy matka wychodziła z pokoju.

NIESPODZIANKA.

Gdy Jerzy powrócił do Kalinówki, niezbyt zadowolony z wizyty, co jednak starał się ukryć, zastał list od babki, co mu było istotną niespodzianką. Pod wpływem radości rozwały się niemile wrażenia, a ciepłe i serdeczne słowa sędziwej niewiasty, rozgrzały tak pocziwe jego serce, że pragnął kochać nawet Witolda. Uczuł że nie jest samotnym na świecie, że jest ktoś dla którego jest droższym ponad skarby świata całego. Łza mu nabiegła do oka, i w rozrzewnieniu przycisnął do ust pismo babki, gdy przeczytał te słowa.

— „Nie martw się o mnie synku, bądź dobrej i spokoj-

nej myśli, jestem zdrowa, Julka, skrzętna i pilna dziewczynka stara się aby mi dogodzić we wszystkim. Że mi ciebie dziecko drogie, nikt zastąpić nie może, że nikt tak się mną nie zaopiekuje jak ty, synku, to pewna, ale muszę wdzięcznem sercem przyjąć to co czyni ta mała, aby mi nie zbywało na usłudze i abym nigdy nie była samotną. A lubię być czasem samą, bo ściele wtedy i poprawiam twoje łóżeczko, i przycisnę do piersi i ucałuję twoją starą kapotkę, która sama jedna z ciebie została ze mną. Baw się więc Jurku swobodnie, bo ja tu sobie żyję wygodnie i wesoło wyczekuję twego powrotu, myśląc o nim dniem i nocą, bo jakoś teraz sypiać bardzo nie mogę. Ale mię to synku nie męczy, więcej mam czasu myśleć o tobie. Wiem od pana N. że tam z ciebie kontenci, chwala cię, że z dziećmi umiesz sobie radzić i pilnie nad niemi pracujesz. To dobre mój Jurku, podjętą pracę trzeba spełniać sumiennie, a za co pieniądze się bierze, tego lekceważyć nie można. Więc choć mi się serce ścisza, że ty dzieciaku tak młodo zacząłeś życie pracy, ale odwozić cię od tego nie będę, bo cóż ci biedaczku poradzić mogę. Życie oddałabym dla twego szczęścia, ale na ten fant nikt podobno szczęścia nie da. Tak już być musi...

List był bardzo długi, ale go w całości przytaczać nie będziemy; był jedną tęsknotą i miłością, choć się do tego babka nie przyznawała, ale w samem zapieraniu się tej tęsknoty była ona aż nadto widoczną, aby jej taki chłopiec jak Jerzy nie dojrzał i nie rozumiał.

Nic więc dziwnego że list ten serdeczny przycisnął do ust ze łzą w oku, wszak to była częśćka tej, która go kochała, bo jej myśli i uczucia własną ręką kreślone.

Dopiero trzy tygodnie upłynęło od jego wyjazdu, a Jerzemu zdawało się że lata całe babki nie widział. Zateęsknił do niej, ale trzeba jeszcze trzy tygodnie czekać na tę chwilę, gdy ją znów otoczy swą opieką i staraniem.

Tymczasem państwo Kalińscy, zniósłszy się z wujem, postanowili u niego umieścić swych malców, pod opieką Jerzego, który za stół i mieszkanie, miał nadal pozostać korepetytorem dzieci.

Że to było w tym samym domu gdzie mieszkał Jerzy z babką, wszystko więc składało się pomyślnie do tej pory dla młodego chłopca, który czuł się szczęśliwym nad wyraz, że babce coraz większą pomocą się staje.

Wakacje zbliżały się ku końcowi, Jerzy z dniem każdym zyskiwał większą życzliwość państwa Kalińskich, i miłość malców, którzy duszą całą lgnęli do niego.

Ze Stefanem widywali się często, bo p. Szarocka pragnęła aby Witold wszedł w stosunek prawdziwie koleżeński z Jerzym, życzenie to jednak matki, pozostało bezskuteczne. Jeżeli dawniej Witold uważał Jerzego jako zupełnie obcego i nieznanego sobie prawie, dziś był dla niego niechętnym, co wyraźnie okazać się starał.

— Pamiętaj Jurku — mówił Stefan na parę dni przed odjazdem do miasta — abyś mnie często odwiedzał i w Warszawie, już ty mi bratem nigdy być nie przestaniesz.

— Pan jesteś pierwszym w życiu, który mię darzysz sercem i taką życzliwością; mógłbym tego nie cenić? — odrzekł Jerzy z wdzięcznością.

BŁOGOSŁAWIENSTWO BABKI.

Wuj p. Kalińskiej u którego stać mieli chłopcy, był wdowcem bezdzietnym, od lat kilku pobierającym emeryturę, jako były urzędnik. Człowiek ten niemłody, chudy, wzrok miał osłabiony, nosił niebieskie okulary, mówił krótko i zwięźle, uśmiechał się rzadko, jakby nosił w duszy jaki smutek, z którym rozstać się nie mógł.

Domem zarządzała daleka jakaś krewna pana N. zostająca u niego od śmierci żony, t. j. od lat trzydziestu. Panna Antonina liczyła piąty krzyżyk, ale o wiele lat wyglądała młodziej. Była to osoba łagodnego i miłego usposobienia, wesoła, lubiąca dużo mówić, i jedynem jej życia utrapienie na które się przy każdej sposobności uskarżała, była właśnie małomówność kuzyna, którego nazywała zwykle rybą.

Drugim powodem do uzaleń, nad czem się dłużej jeszcze unosiła, że po ś. p. żonie pana N. nie zostało dzieci, któreby mogła wychowywać.

Gdy się więc dowiedziała że pp. Kalińscy u nich umieszczą swych synków, radość jej granic nie miała, i na tle przyszłego życia w ożywionym domu, snuła rozkoszne obrazy, które jej nieraz zasnąć nie dały.

Pan N. wymówił sobie tylko nienaruszalność swego pokoju, do którego malcom wzbronione było wejście.

— Jedyna rzecz mądra, którą jegomość w swoim życiu uczynił — rzekła do pana N., gdy jej oznajmił o wzięciu chłopców na stancję — doprawdy jedyna, więcej nie pamiętam.

Pan N. machnął ręką i rzekł krótko.

— Będiesz miała czego pragniesz, abym ja tylko miał spokój. A dogadaj Jerzemu, bez niego chłopców nie chcę.

— Dogodzę wszystkim — mruknęła p. Antonina za odchodzącym — jeżeli jegomości dogadzam przez lat trzydzieści, to pewnie potrafię już każdemu dogodzić.

Ostatniej uwagi pan N. nie słyszał, był już w swoim pokoju.

Sądny był dla pokojowej Zuzi dzień, w którym przyjechać mieli upragnieni mieszkańcy cichego dotąd kącika. P. Antonina wstała przed wschodem słońca, i napędzała zaspną dziewczynę do roboty, na którą i za kilka godzin było dość jeszcze czasu.

— Skończyło się próżnowanie — pocieszała krzątającą się Zuzię, która od czasu do czasu ziewała głośno — teraz codzień trzeba wstawać rano, raniej niżeli dziś, aby wydażyć ze wszystkim.

— To chyba wcale sypiać nie będziemy — odpowiedziała z niezadowolaniem Zuzia — jak żyję nie wstawałam zaraz po północy.

— Jak trzeba to trzeba — mówiła z przejęciem panna Antonina — wstanę ja, to musisz i ty. Buciki trzeba poczyszczyć, samowar nastawić, bułek przynieść.

— Na to i godziny nie trzeba — rzekła Zuzia broniąc swego spoczynku.

Ale p. Antonina zapowiadała stanowczo i seryo, że przy takich zajęciach, muszą wstawać przed wschodem słońca, i krzątała się zawzięcie po kuchni i pokoikach, przestawiając jedne i te same rzeczy po raz dziesiąty, a Zuzia ziewała i ziewała.

Tak zeszło do godziny czwartej po południu, gdy narazie uśmiechnione i zarumienione buzie chłopców ukazały się oczom p. Antoniny, a na widok ten poczciwe jej serce zadrżało z radości, i głośnym okrzykiem powitała wchodzących.

Tymczasem na dole, drugi okrzyk radości witał wchodzącego Jurka, ale w okrzyku tym drgała nuta tak serdeczna i szczerą, wyrwał się z tak stęsknionego serca, że chłopiec nie w otwarte ramiona babki, ale do jej kolan się pochylił, i drżącą rękę staruszki do ust tulił.

— Dziecko ty moje, synku mój najdroższy — zaledwie wyszeptala sędziwa niewiasta obejmując głowę chłopca — Jurku mój, dziecko moje.

Więcej mówić nie mogła, tłumila łzy, chciała pokryć ogarniające ją wzruszenie.

— Babuniu! nie rozłączmy się już nigdy, nigdy! — zapewniał Jurek gorąco, jakby odpowiadając na tajemną prośbę babki.

(d. c. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Znana oddawna zawiła szarada,
Inaczej tylko znowu się układa:
W niej *drugie, pierwsze* jest podobno trzecie;
Zaś *trzecie, pierwsze* najdokładniej wiecie;
Wraz ptaki smaczne, więc poszukiwane;
Kosmatolapych kur tworzą odmianę.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla M. i Z. S. ułożyli Poraje z Siedlec.

Z następujących sylab: Ba — ba — cy — ta — do — dom — e — ek — in — fis — kjach — ksas — ga — mem — na — nie — ra — star — ta — ta — te — tna — wia — ułożyć wyrazy: 1. Stan w Ameryce półn. 2. Miasto guber. 3. Miasto w Persyi, słynne z fabr. dywanów. 4. Starożytne miasto w Egipcie. 5. Główne miasto jednej z wysp Sundzkich. 6. Wulkan w Europie. 7. Naród koczujący w Europie. 8. Wioska na pograniczu hiszpańskim, gdzie kwitnie handel zamienny. 9. Półwysep w Azji. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą nazwisko poety XVIII wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady w niteczce Aryadny:

Pierwsze towarzyszy zwykle każdej rzeczy;
Drugie czasem kąsa, truje gdy kaleczy;
Trzecie w alfabecie... Przenikliwość rzadka,
Tego, co odgadnie!... bo to jest zagadka.

Ewa Marya.

Łamigłówki w trójkątku:

K a r t a g i n a
A n t y l o p a
R o s o m a k
T a r s u s
A g a w a
G r a n t
I r i
N a
A

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4_{k.10}, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5_{k.10} — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRÉŚĆ: Konkurs. — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego (z drzew.) — Młody władca Egiptu (z drzew.). — Na wyspie Molokai — Wzajemna opinia, wiersz (z drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek** Zimorodek, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Co Tadzio zobaczył w kropli wody. — Przygoda Jasia, ze wspomnień Wielisława. — Kapryśny Zbigniewek p. H. Wernica. — Odwaga i zuchwalstwo p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



ZIMORODEK.

Gdy wicher zahuczy, gdy śnieżne zamieci
Świat w białe spowiną tumany,
On — siadłszy pod oknem, w szkarłaty odziany,
Choć zimno, choć głodny, wesoło wciąż śpiewa:
Przyrzeka, że liściem zaszumią znów drzewa,
Że słońce wiosenne zaświeci.

I śpiewa i dzwoni... przysiądzie... podleci...

Gość mały w szkarłaty odziany, —
Co śpiewa o wiosnie, gdy śniegu tumany
Puchami na dachy się ścielą, na drzewa,
Co w mrozy piosenką pierś wątłą rozgrzewa,
Wszak chleba dostanie od dzieci?

T. P.

Co Tadzio zobaczył w kropli wody.

Tadzio wybrał się pewnego pięknego, letniego dnia na daleką wycieczkę ze swym nauczycielem. Obaj szli przez łąkę, na której rosły kwiatki; śliczne motylki uwiły się w powietrzu: Tadzio biegł za nimi, starając się chwycić je ale bez siatki nie przychodziło mu to łatwo; zmęczył się też co się zowie.

— Ach, jakże mi się chce pić! — zawołał zatrzymując się nad rowem pełnym wody; ja wiem, że to niezdrowo, kiedy się jest zmęczonym, ale poczekam aż ochłodnę.

— Nie radzę ci kosztować tej wody — odparł nauczyciel; — jest ona bowiem nieczystą.

— Nieczystą! — powtórzył zdziwiony Tadzio: — a jednak nie wydaje się wcale mętłą.

— Nie wierzyć mi, jak widzę mój Tadzio; jeżeli

Dodatek do N. 5, 1892 r.

chcesz sprawdzić to co mówię, to weź we flaszeczkę troszkę tej wody, a pokażę ci co się w niej znajduje, skoro powrócimy do domu.

Zaraz po spacerze nauczyciel przyniósł ze swego pokoju przyrząd, zwany mikroskopem, albo drobnowidzem, przez który nieraz już pokazywał swemu uczniowi rozmaite ciekawe rzeczy, których nigdy nie można dojrzeć gołym okiem.

Wziąwszy od Tadzia wodę zaczerpniętą z rowu, puścił z niej jedną kropelkę na szkło umieszczone u spodu mikroskopu i kazał spojrzeć w nie chłopczykowi. Tadzio przyłożył oko do przyrządu, i popatrzawszy chwilkę, wykrzyknął z podziwienia: kropla wody roila się mnóstwem maleńkich stworzeń, okrągłych, to podłużnych, niby laseczki, to o walnych, opatrzonych w wąsiki lub poszczepianych jedne z drugimi; istotki te, pływały we wszystkich kierunkach, goniły się, napadały jedne na drugie... Tadzio napróżno starał się je policzyć, było ich tam tysiące.

— I ja chciałem wypić te brzydkie stworzenia? fe! — zawołał z niesmakiem.

— Wiedz o tem, kochany Tadzio, że istotki te są bardzo szkodliwe dla zdrowia — rzekł nauczyciel; — dostawsz się bowiem do wnętrzości człowieka, lub zwierzęcia sprowadzają rozmaite niebezpieczne choroby: zaraźliwe stworzonka te nazywają się mikroorganizmami; niektóre z nich szkodzą, wtedy nawet, kiedy zetkną się z krwią. Mikroby znajdują się także w nieczystym powietrzu, oddychając więc niem, połykamy je tysiącami.

Widzisz więc, jak pilnie powinniśmy przestrzegać czystości i porządku dokoła siebie, aby uniknąć tych niewidzialnych nieprzyjaciół, którzy czyhają ustawicznie na nasze zdrowie.

PRZYGODA JASIA.

Ze wspomnień Wielisława.

Jaś był greczny, układny chłopczyk, uczył się nieźle, lecz miał brzydką szczególniej jak na dziesięcioletniego chłopca wadę, że lubił ploteczki i nie pytany i nie proszony, co wiedział i czego nie wiedział, szeptał i donosił mamie.

Była to wadliwa chęć przypodobania się rodzicom cudzym kosztem; bo z tych Jasia dośrożeń, często wypadło, że mamie i tym na których skarżył robił nieprzyjemności.

Daleko pewniej zasłużymy sobie na miłość rodziców, stając się ich pociechą przez posłuszeństwo, pilność w naukach, dbałość o porządek i grzeczność dla każdego z domowników czy obcych. Raz mama Jasia wyjechała na dłużej odwiedzić chorą siostrę, powierzysz

szy Jasia opiece nauczycielki, a zarząd domu całego doświadczonej, rozsądnej Rykosi, jeszcze *wyprawnej* swojej, jak nazywano dawniej, pannie służącej.

Rykosia oddawna posądzała Jasia że przez niego dochodzą do pani fałszywe wiadomości, że ona mało dba o dobro państwa, że się starzeje, w dozorze słabnie, postanowiła więc odkryć sprawcę doniesień i ukarać go za doznawane z jego winy przykrości.

Wigilią więc powrotu pani, gdy dzieci się już do snu pokładły, widząc że Jaś nie śpi, bo lubił podsłuchiwać co mówią, nachyliła się do nauczycielki i półgłosem niby, ale tak, aby Jaś koniec opowiadania dosłyszał mówi:

— Jakem była garderobianą u starszej pani; zdarzyło mi się, że będąc w spiżarni (dalej mówiła głośno) wypadła mi z ręki ogromna butla nalewki brzoskwiniowej zachowanej dla gości. Dopieroż będą łajania od pani — myślę sobie i słusznie, — butli szkoda wielka; cała ta doskonała nalewka wyciekła.

Jaś który chwycił słowa, jednak ani początku, ani końca opowiadania nie słyszał, przekonany, że mowa o butli którą znał dobrze, bo nieraz o kropelkę chociaż z niej nadaremnie się napierał, usypiał prawie uradowany, że będzie miał co donieść.

To też zaledwo mama wróciła do domu, jeszcze się nie rozebrała zupełnie, a on już jej szepnął do ucha.

— Mamo! Rykosia stłukła ogromną butlę z brzoskwiniową nalewką dla gości.

Usłyszawszy to, mama zmartwiła się bardzo i nuż wymawiać Rykosi, że widocznie opuszcza się w pilnowaniu gospodarki.

— Skąd pani tak źle o mnie sądzi, jeśli zapytać wolno? najspokojniej odpowiadała Rykowska.

— Przecież nie byłabyś stłukła butli, gdybyś była uważniejszą.

— O jakiej butli pani mówi? nie rozumiem wcale.

— O tej, z moją najlepszą nalewką brzoskwiniową, którą chowam dla gości.

— Któż pani to mówił?

— Jaś mówił, że widział szkło potłuczone.

— Mógł widzieć szkło potłuczone, bo mając więcej czasu zabrałam się do uporządkowania spiżarni, ale butla niestłuczona stoi — to mówiąc otworzyła drzwi przyległej do sypialni podręcznej *apteczki*, gdzie za jednym rzutem oka pani D. mogła się przekonać, iż wszystko znajdowało się we wzorowym porządku.

— Czego kłamiesz? — rzekła wtedy mama zmartwiona do Jasia — Czyż nie wiesz jak brzydką jest wadą kłamstwo!

Nadszedł na to ojciec który się kłamstwem bardzo brzydził, bo przekonał się że kto kłamie wiele złego popełnić potrafi i utrzymywał że żaden z jego szkolnych kolegów, jeśli kłamał, nie wyszedł na pocziwego człowieka.

Odkrycie tej wady w synu bardzo mu więc było bolesne. Rozgniewany kazał Jasiowi wedle dawnego obyczaju dziś już zarzuconego, przez cały czas obiadu siedzieć u stołu z zawieszonym na szyi czerwonym sukienym językiem za plotki. Jaś ze wstydu nic jeść nie mógł.

Tak zapamiętał otrzymaną karę, że odtąd zarówno kłamać jak i donosić zaprzestał, gdy się coś nieprzyjemnego przytrafiło w domu.

KAPRYŚNY ZBIGNIEWEK.

Zbigniewek był dzieckiem chorowitem, zawsze czegoś mu brakowało, zawsze był krzywy i rozkapryszony. Wszyscy mu pobażali nie wyłączając matki, która obawiała się, żeby płacz nie pogorszył jego zdrowia; dla tego przykazała, żeby nikt mu się nie sprzeciwiał.

Wiedział o tem Zbigniewek; pozwalał też sobie na wszystko. Czy myślicie że był kiedy zadowolony? Bynajmniej; bo jeśli mu dano konika, chciał mieć wózek, jeśli miał konika i wózek, żądał piłki, a o koniku i wózku zapominał. Słowem zawsze tego żądał, czego jeszcze nie posiadał, a kiedy to otrzymał, rzucał w kąt i znów pragnął czegoś nowego. Był on bardzo nieszczęśliwy, bo tylko takie dziecko bywa zadowolone, które przez dłuższy czas umie się bawić jedną rzeczą. Pewnego razu wieczorem służąca poszła do studni z wiadrem po wodę. Poszedł z nią Zbigniewek, a gdy ujrzał tarczę księżycy odbijającą się w naczyniu napełnionem wodą, zażądał żeby mu ją dano do ręki. Napróżno przedstawiała mu służąca, że jest to tylko odbicie księżycy. Chłopiec wciąż się napierał, krzyczał i zanosił od płaczu.

Matka słysząc płacz, przybiegła przestraszona pytając co się stało?

— Zbigniewek żąda — rzekła śmiejąc się służąca — żebym mu dała księżyc odbity w wodzie.

Na te słowa matka i inni obecni głośno się roześmieli. Napróżno matka tłumaczyła rozkapryszonemu chłopcu, że to, czego żądał uczynić niepodobna, ciągle płakał, i umilkł dopiero wtedy, kiedy ojciec sam go zgromił.

Odtąd też matka zabroniła dogadzać jego zachciankom, co wyszło mu na dobre. Przestał grymasić, był grzeczniejszy i bardzo z siebie zadowolony.

II. Wernic.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Jaś mówił nam, że mieszka z drugiej strony wsi, że ojciec jego jest squatterem a matka cyganką.

— Co to jest, „squatter”? — zapytał Julek.

— Squatter to ten, co zbuduje sobie chatę na cudzem polu, w przeciągu jednej nocy. Wtedy nikt niema prawa jej rozwalić. Ojciec tak właśnie zrobił, a dla nas jest to bardzo wygodnie, bo niepotrzebujemy czynszu płacić. A my pieniędzy na takie zbytki nie mamy.

— Co twój ojciec robi? — zapytałem.

— Co się nadarzy. Czasem pokrywa dachy słomą, umie zabijać wieprze i dzielić je na części, drutuje

garnki i kotły, robi klepki do beczek i różne drzewiane rzeczy, a mama sprzedaje to na targu w miasteczku. Przytem mamy zawsze kilka gęsi na łące. Dawniej dobrze nam się powodziło, tylko teraz czasy ciężkie i musimy żyć z dnia na dzień.

— A chodzisz do szkoły?

— O nie! już jestem za duży; zresztą czego oni tam uczą? nic pożytecznego, a ja chcę być samodzielnym, jak tylko jeszcze trochę wyrosnę. Ale teraz chodźcie, zobaczymy czy jaka ryba nie połknie haczyka. I wziął jedną wędkę, ja drugą i poszliśmy nad brzegiem rzeki; Julek i Czarownica biegli za nami przyglądając się nam z uszanowaniem.

Jaś znał kilka miejsc, o których mówił, że się tam ryby roją jak pszczoły w ulu, ale pomimo małego haczyka i zręcznie założonej przynęty, tylko parę małych płotek wrzuciliśmy do kosza. Jaś wkrótce zaczął się niecierpliwić, rzucił wędkę i w towarzystwie Czarownicy, która się już trochę do niego przyzwyczaiła, rozpoczęła polowanie na szczury wodne. Już słońce było nisko i zbieraliśmy się z powrotem do domu, kiedy wrócił zdyszany, w jeszcze więcej podartem i poplamionem ubraniu. Polowanie mu się nie udało, a Czarownica tak była zawstydzona ucieczką zwierzyny, że wróciła wprost do domu, nie zważając na nasze wołanie.

— Uważajcie — zawołał Jaś, oddychając szybko — darmo będziecie po całych dniach siedzieli nad tą wodą; nic nie złapiecie, bo tu ani jednej ryby niema. Stary Blossom pozwala każdemu przychodzić i wędki zarzucać, tak że dla nas nic nie zostało. Ale tu trochę dalej, ot, za tym rowem takie ich jest mnóstwo, że poprostu nie mają gdzie się obrócić. Dostyc nałożyć robaka, a w jednej chwili ze dwanaście karpia się złapie, i ręka będzie cię bolała od samego wyciągania. To, to przyjemność!

Julek otworzył szeroko oczy, a ja powiedziałem głosem niepewnym:

— Tam nikomu niewolno ryb łowić, rów jest granicą ziemi fermera Blossom, a z tamtej strony łąki należą do jakiegoś pana, który karze bardzo surowo tych co mu ryby wylawiają.

— A wiem, to pułkownik Morris, stary, nienzośny dziwak, ciągle się procesuje o zwierzynę, ale na rzeczku mniejszą zwraca uwagę; zresztą niema go dzisiaj w domu, i nasza wyprawa, choćby się o niej dowiedział, nie zrobi mu żadnej przykrości. Chodźcie! cóż? może się boicie?

— Popatrz tylko — zawołał Julek wskazując tablicę przybitą do gałęzi: „Wstęp zabroniony; przekraczający ten zakaz, będą sądownie prześladowani”.

— To nic nie znaczy, na każdym polu znajdziesz podobne napisy.

Ale czyż nie widzisz: „będą prześladowani” to okropne. Mama mówiła że Rzymianie prześladowali pierwszych Chrześcian, że ich palili, ucinali im ręce i nogi i rzucali dzikim zwierzętom na pożarcie.

— Jakiś ty niemądry Julku — powiedziałem zbli-

żając się do tablicy — czyż nie widzisz że tu napisano nie „prześladowani”, ale „sądownie ścigani” *).

— Co to znaczy? — spytał Julek.

— Mniej więcej to samo — odpowiedział Jaś.

— Nie! wcale nie to samo! — zawołałem, chcąc okazać większą znajomość rzeczy; — ścigany, to zupełnie co innego. Rozumiecie że... no rozumiesz? — nie wiedziałem co dalej powiedzieć. Na szczęście, Jaś nie mogąc się doczekać końca, przerwał mi:

— Mniejsza o to, co tam napisali, ale żeby nas ukarać, muszą nas pierwej złapać, a to będzie trudno, bo na łączce nie widać nikogo. Dalej więc w drogę.

— Niel — zawołałem — dziś już zapóźno, musimy wracać do domu.

— Więc idźcie do mamy Blossom. Dajcie sobie nałożyć fartuszki i poczekajcie cierpliwie, jak grzeczne dzieci, aż wam dadzą herbaty z mleczkiem.

— Kiedy ja nie wiem, jak my tędy przejdziemy.

— O to ci idzie! boisz się przejść przez rów po tej desce? On się doprawdy boi!

— Wcale się nie boję — krzyknąłem z gniewem — i prędzej przejdę niż ty.

Oba pola były przedzielone głębokim rowem, na dnie którego płynął wąski strumyczek, wpadający do rzeki Mardon. Przez rów, nieopodal drzewa z tablicą, przerzucono deskę, a ta ugięła się pod najlżejszym ciężarem.

Nie był to most ani wygodny ani bezpieczny, ale w jednej chwili znalazłem się po drugiej stronie rowu; Jaś biegł za mną, z witką w ręku, na końcu z małym wahaniem przeszedł i Julek.

— Chodźcie za mną — rzekł Jaś. O kilkadziesiąt kroków dalej znajdziemy najwięcej ryb.

Poszliśmy brzegiem w dół rzeczki; nasz przewodnik zatrzymał się nad maleńką zatoką i oświadczył, że to jest właśnie najbardziej zarybione miejsce.

Ukryliśmy się w krzakach, i siedli na trawie nadbrzeżnej z wędkami w ręku. Polów nie był tak obfity, jak nam Jaś obiecywał; niebawem jednak wyjął z wody dużego lina, ja złowiłem parę mniejszych i właśnie trzeci połknął mój haczyk i obaj z Julkiem wyjmowaliśmy go z wielką ostrożnością z wody, kiedy dał się słyszeć szelest liści i łamanych gałęzi. Jaś zerwał się na równe nogi. „Uciekajcie, to leśnicy!” szepnął nam i w jednej chwili znikł w zaroślach. Z wielkiego wzruszenia szarpnąłem mocniej wędkę, sznurek podskoczył i zaczepił się o gałęzie drzewa, a ryba trzepotała się w powietrzu, o jaki łokieć nad naszymi głowami.

— Zostaw wędki — mówił Julek przyciszonym głosem — uciekajmy póki czas, bo jak nas złapią, to z pewnością zabiją.

Zaczęliśmy biedz z całych sił przez wysokie trawy, krzaki i zarośla, gałęzie biły nas po twarzach, rozdzierały ubranie, aleśmy na to nie zważali. Chcieliśmy się tylko oddalić od kroków, które pomimo wysiłków z naszej strony, ciągle się zbliżały. Jużeśmy dobiegli do

*) Po angielsku, prześladowany i ścigany (persecuted i prosecuted) podobnie się piszą; łatwo też przeczytać jeden wyraz zamiast drugiego.

brzegu lasu i ja zeskoczyłem z pagórka, żeby na równie nabrać większego rozpędu, kiedy upadł Julek; podniósł się z trudnością i nie mógł już nietylko biedz ale nawet iść dalej, bo się mocno uderzył w nogę. Był bładny jak płótno i z trudnością usiadł na zwałonym pniu dęba. Zaledwie mógł się powstrzymać od płaczu, ale jednak powiedział mi:

— Uciekaj Tomku i zostaw mnie samego, bo już dalej iść nie mogę, i powiedz mamie... Tu usta zasłonił obiema rękami, żeby się w głos nie rozpłakać; zdawało mu się że go leśnicy zabiją i że już nigdy więcej mamy nie zobaczy; a przytem bardzo go noga bolała.

Nie wiedziałem co począć, ale przecież niepodobna było zostawić Julka samego. Szelest za nami ustał na chwilę: zapewne leśniczy doszedł do miejsca gdzieśmy ryby łowili i zatrzymał się aby się przyjrzeć wędkom. Wróciłem na pagórek i siadłem obok Julka na kłodzie. Serce mi silnie biło, chociaż starałem się ukryć moje trwożę.

(d. c. n.)

HOMONIM.

Ułożył Paź królowej.

Jestem czasem, nazwiskiem miesiąca letniego,
Który jest najcieplejszym w roku,
A czasem znów nazwiskiem napoju słodkiego,
Który na wsi spotyka się na każdym kroku.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

od Kampanelli dla Litw.

1. Spółgłoska.
2. Zaimek wskazujący.
3. Roślina z rodz. jednoliść. sprowadzona z wysp Kanaryjskich.
4.
5. Siedmiokolorowy łuk na niebie.
6. Nazwa tego, czego w porządnym domu nie znajdzie na meblach.

Środkowy rząd i środkowe litery powinny utworzyć nazwę miasta we Włoszech.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Lub — lin.

Kwadratu magicznego (czarodziejskiego):

1. Nora. 2. Rano. 3. Arno. 4. Ar. 5. No! albo odwrotnie on.

Skrzynka do listów.

Cieszymy się bardzo że kochany **Błędny Ognik** zadowolony z przesłanej sobie książki. Nagrodę dla jej przyjaciółki

prześlemy także, bo już od niej samej mieliśmy to polecenie. Czekamy tylko, czy się nie trafi okazja.

Ma się rozumieć, kochana **Sójko**, że masz zupełne prawo upominać się o należną ci nagrodę. Zazwyczaj tylko prosimy naszych czytelników, aby starali się odbierać przypadające im nagrody przez okazje dla oszczędzenia Redakcyi zachodu.

Mała L. „bardzo się ucieszyła” z nagrody — wszak to nie pierwsza? Cena numeru z dodatkiem 10 kop.

Kochana **Kampanella** nie dopełnia postanowionych przez nas warunków, pisząc dwa oddzielne liściki na tej samej kartce. Przysłaną łamigłówkę przerobić by trzeba: określenia nie są dostatecznie ścisłe.

Złota Kula i **Wąż jadowity** ułożyli bardzo dowcipną łamigłówkę, ale nie kwalifikuje się ona do druku; prosimy o inną.

Witamy „**Pazia królowej**” pod nową nazwą! Tak, **Paziu**, ostrożnym być trzeba w wyborze; ostrożnym także co do właściwego używania przypadków. „Służę nazwiskiem” to nie po polsku; mówić należy: „służę za nazwisko.”

Jaką to oszczędną i zabiegliwą czytelniczkę mamy w **Antosi P.**, która z „uzbieranych własnych pieniędzy” opłaca całoroczną prenumeratę! Za serdeczne życzenia serdecznie dziękują wszyscy niemi obdarzeni.

Sekundo miła, Redakcyja oraz jej członkowie z całą przyjemnością odpowiadają na wasze liściki.

Truskawka pyta „kiedy będzie nowy konkurs robót.” Nie pędź aż podczas wakacyj; teraz zato ogłaszamy konkurs piśmienny. Przedmiot jego stanowić będzie pytanie, na które chyba łatwo dać odpowiedź. Wybacz, kochanko, ale pseudonimów zdradzać nie możemy.

Dlaczego to **Olga P.** nie brała od tak dawna udziału w konkursach? Za pozdrowienia uścisk przesyłamy.

Chmurko złocista, przypominamy ci słowa, napisane przez znakomitego poetę w jednym z listów do małych podówczas synków; „Papież przez rz, to kacerstwo ortograficzne.”

M. Pag., **J. Sek.** i **Szczebiotka** z Warszawy dali dobre rozwiązania łamigłówek i szarad, a tak jedne jak drugie można zawsze przysyłać do Redakcyi. Z przyjemnością widzimy że się nasi czytelnicy tem zabawiają.

Żądaniu p. **Szczęsnego P.** nie możemy zadość uczynić, roczniki bowiem **Wieczorów** rodz. z r. 1884 i 1888 są zupełnie wyczerpane.

Za przesyłkę dla chorych, ubogich matek i dzieci: dzieci te i matki modlić się będą za **Stasia** i **Zosię Kow.**, a tymczasem w ich imieniu dzięki im składamy.

Toż samo powtarzamy **Kaziowi J. P.** **Annie Z.** za pamięć łaskawą i życzenia podziękę przesyłając.

Waldemarowi K. Bławatki posłane, kosztują wraz z przesyłką kop. 55, pozostało więc do dalszego rozporządzenia kop. 45.

P. Wandzie S. L. Rs. 2 kop. 50 doręczono wedle przeznaczenia.

Mile witamy nową czytelniczkę, **Zuzulkę z M.**, i chętnie zaliczamy ją do stałych korespondentek, prosimy tylko aby na tym pierwszym liściku nie porzestała.

Maryni Bo. Dziękujemy serdecznie za przesyłkę dla paralityków, ale żałujemy bardzo że ani słówka przytem do nas nie napisała, a chętnie policzylibyśmy do grona naszych korespondentów dziewczeczkę, która dowiodła dobrego serduszka pamięcią o nieszczęśliwych kalekach. Nie przypuszczamy też wcale ażeby **Marynia** nie potrafiła gładko i kaligraficznie do nas liściku napisać. Niechże więc przekona nas że się nie mylimy, przy najpierwszej po temu sposobności.

Korespondencję twoją, miła **Jaskółko** ze **Śniatynki** odebrałszy; bardzo dobrze napisana. Żadne nowe komedyjki nie wyszły, a i wśród dawnych wybór niewielki.